№ 22. 29. Maja 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Ruch narodowy na Szląsku

napisał

Wojciech Szukiewicz.

(Ciąg dalszy.)

Krótko się z *Przyjacielem ludu* sprawię, gdyż jest to pismo ewangielickie, dwutygodnik, specjalnie sprawom wyznaniowym poświęcony, których nie mam zgoła zamiaru omawiać. Pismo to zasługuje atoli ma wzmiankę z tej przyczyny, że jest szczerze narodowo usposobione, czego wybitny dowod dało podczas ostatnich wyborów sejmowych na Szlązku w 1890 r. »Związek szlązkich katolików« rozwinął agitację wyborczą i mając do postawienia czterech kandydatów z kurji mniejszej własności, zaproponował, aby dwaj wyszli z pośród ewangielików, dwaj zaś z pośród katolików. Otóż »Przyjaciel ludu« przyjął wdzięcznie tę propozycję i gorąco nakłaniał ludność wyznania ewangielickiego do zgodnego działania z katolickimi współobywatelami-narodowcami, ostrzegając przed rozdwojeniem politycznem z pobudek wyznaniowych Objaśnić należy, iż nawoływanie to przez ewangielików chętnie wysłuchane zostało, wskutek czego Polacy szląscy dnia 30. września 1890 r. wielki święcili tryumf, wprowadzając do sejmu czterech swoich kandydatów. Wogóle ton spokojny i pojednawczość są cechami *Przyjaciela ludu*, którego do życia powołało odstąpienie przez Pawła Stalmacha *Gwiazdki* stronnictwu katolickiemu.

Nareszcie ostatnim z rzędu, ale nie ostatnim pod względem bardzo doniosłego znaczenia cywilizacyjnego i narodowego jest wydawany przez Jerzego Kubisza, nauczyciela ludowego we wsi Wiśle, *Miesięcznik pedagogiczny*, dopiero jeden rok istnienia liczący organ »Polskiego kółka pedagogicznego w Ustroniu«. Jest to pismo fachowe wprawdzie, ale podobnie jak i szkoła ludowa posiada ogólne społeczno-narodowe znaczenie. Skoro włościanie stanowią przeważną część narodowości polskiej na Szlązku z jednej strony, a z drugiej nie ma polskich szkół średnich i jedynie w szkole ludowej istnieje, choć bardzo ograniczona i szczupła, możność narodowego kształcenia w języku polskim, przeto od moralnego oraz intelektualnego stanu naszych nauczycieli ludowych na Szlązku zależy przyszłość Polaków szlązkich. Pismo więc treści pedagogicznej, do umoralnienia i wykształcenia coraz wyższego nauczycielstwa ludowego zmierzające, posiada przy racjonalnem, uczciwem redagowaniu znaczenie wprost nieocenione. W jedynym roczniku, jaki dotychczas ukazał się, poruszono rzeczy tak doniosłe, jak zamiłowanie nauczyciela do zawodu i jego przywiązanie do powierzonej mu dziatwy; wyższość metody poglądowej nad inne, potrzebę opisu elementarnego, konieczność nauki rolnictwa w szkole ludowej itd. Na inną jeszcze stronę *Miesięcznika pedagogicznego* wskazać nam potrzeba Ponieważ, jak w jednym z poprzednich rozdziałów zaznaczyliśmy, polskiego seminarjum nauczycielskiego nie ma i nauczyciele mimo swej woli i chęci wychodzą z językiem polskim mocno skażonym, przeto redakcja nawołuje nauczycieli do usilnej pracy nad sobą samymi, aby zdobyć możność poprawnego przemawiania do uczni i uczenia ich dobrej polszczyzny. *Miesięcznik pedagogiczny* obstaje przy uznanej dziś za najracjonalniejszą zasadzie pedagogicznej szerzenia oświaty w języku ojczystym, to też domaga się z jednej strony założenia polskiego seminarjum nauczycielskiego w Cieszynie, a z drugiej zniesienia utrakwizmu w ludowej szkole szląskiej i uwzględnienia słusznych wymagań ludności polskiej. Broniąc wreszcie interesów nauczycieli ludowych jako stanu, utrzymuje się *Miesięcznik* na wysokości swojego zadania i może niezmiernie doniosłe oddać usługi wobec tego, że zyskuje sobie coraz większe uznanie, co redakcja w ostatnim numerze grudniowym z radością zaznacza.

Nakoniec dla właściwego scharakteryzowania anormalnych na Szlązku stosunków wspomnieć winienem, że istnieje polskie pismo *Nowy Czas*, redagowane w duchu niemieckim a podtrzymywane oraz inspirowane przez superintendenta Dra. Haasego.

Wiem dobrze, iż dałoby się o dziennikarstwie polskiem na Szlązku o wiele więcej napisać, lecz tak cel, jakoteż rozmiary niniejszej pracy zniewoliły mnie ograniczyć się do szkicu tylko, podającego najważniejsze cechy, tendencje i sposoby działania naszych pism na Szląsku. Sądzę, że cel osiągnąłem i że każdy czytelnik stan dziennikarstwa szląskiego zasadniczo poznać i zrozumieć może. To zaś było moją myślą przewodnią, moim zamiarem.

Przystępując do omówienia stowarzyszeń polskich na Szląsku na wstępie zaznaczyć muszę, że dzielą się one na czynne, już od pewnego szeregu lat działające i na takie, które znajdują się w epoce powstawania i może dopiero z czasem działalność rozpoczną; do drugiej kategorji należy »Macierz szkolna i »Towarzystwo domu narodowego«. Z czynnych jedne zasługują na bliższe zastanowienie się, inne wystarczy tylko z nazwiska i celu wymienić. I tak »Dziedzictwo bł. Jana Sarkandra« zajmuje się wydawaniem i rozpowszechnianiem między ludem książek polskich w duchu religijno-narodowym; »Towarzystwo ewangielickie oświaty ludowej« z takim samym celem, jak poprzednie, tylko w duchu ewangielickim; »Towarzystwo polityczne ludowe« bez barwy wyznaniowej; »Towarzystwo oszczędności i zaliczek«, na zasadach Schultzego z Delitsch oparte, z trzema filjami: w Jabłonkowie, Frysztacie i Boguminie; najmłodsze, świeżo zawiązane towarzystwo gimnastyczne »Sokół«.

Cele i mniejsze lub większe znaczenie każdego z tych towarzystw jest jasne, łatwo zrozumiałe.

»Czytelnia ludowa«, najstarsza, w r. 1861. założona instytucja, posiada piękny i bogaty księgozbiór, lecz nie może się należycie rozwinąć z braku dogodnego i stale zapewnionego lokalu. Pożytektej instytucji łatwo zrozumieć. Oprócz bibljoteki znajdują się tu na użytek członków liczne pisma polskie i niemieckie, bilard itd. Tu więc może się schodzić inteligencja polska, zawierać znajomości, zawiązywać bliższe stosunki. Tu z wymiany myśli może się wyłonić niejeden pomysł ogólniejszego znaczenia, wychodzący po za szczupłe ramy »Czytelni«. »Towarzystwo Naukowej Pomocy dla księstwa Cieszyńskiego«, dążące do popierania w naukach szlązko-polskiej młodzieży szkolnej przez udzielanie stypendjów i zapomóg. Stypendja otrzymują tak dobrze uczniowie gimnazjalni jak studenci uniwersytetu i kandydaci nauczycielscy. Na jaką skalę prowadzi towarzystwo swoję czynność, wskazuje sprawozdanie z 1891 r., w którym 26 studentom udzielono ogółem 530 zł. zapomogi stypendyjnej.

O »Towarzystwie rolniczem dla ks. Cieszyńskiego« wspominaliśmy już przy *Rolniku szląskim*. Ponieważ jednak rzecz nie została wcale wyczerpana, przeto pozwolimy sobie powiedzieć tu jeszcze słów kilka. Towarzystwo dąży wszelkiemi siłami do podniesienia rolnictwa, a co zatem idzie, materjalnego dobrobytu ludu szląskiego. Odbywa wędrówki, urządza odczyty, poucza o racjonalnej uprawie roli i hodowli bydła, sprowadza cuhaje i kiernosy, zakłada obory zawodowe, pośredniczy w nabywaniu narzędzi rolniczych, nasion i sztucznych nawozów. Organizuje wykłady o sadownictwie i pszczelnictwie, wreszcie daje inicjatywę do wystaw bydła, połączonych z premiowaniem najlepszych okazów, oraz urządziło jednę dotychczas wystawę ziemniaków, tej tak ważnej dla naszego ludu rośliny. Oprócz tego zachęca do zawiązywania »Kółek rolniczych«, którym znaczne przyznaje korzyści. Ciesząc się poparciem Wydziału krajowego i rządu spełnia swoje zadanie umiejętnie i sumiennie.

(D. n.)

Podcięte skrzydła.

(Ciąg dalszy.)

Zaczęły się dla mnie dni prawdziwie rozkoszne. Ciotka i Julka prześcigały się, by mi we wszystkiem dogodzić, przypominały sobie wszelkie ulubione dawniej przezemnie potrawy, starały się uczynić zadość wszelkim moim grymasom nawet. Ale już przedewszystkiem Julka łowiła prawie każdy ślad mojego życzenia, uprzedzała je, wybierała mi przy stole najlepsze kąski, czesała się i ubierała tak, jak ja lubiłem. Od śmierci męża upłynęło dopiero kilka miesięcy, ale ona dla mnie, (tak ja nierozsądny zarozumialec wówczas sądziłem), zdobywała się na dobry humor i żarciki.

Kiedym przyjechał, w jej pokoju na biurku stała fotografja męża, a u jej stóp zawsze świeże kwiaty; zapewne, aby mnie nie drażnić, zaprzestała najpierw zmieniania kwiatów, a potem i fotografję schowała. Oczywiście, myślałem, wszystko tylko przez wzgląd na mnie!

Raz, kiedyśmy się naradzali nad próbkami sukna na moje ubranie, bo ona i w tem miała głos decydujący, powiedziałem:

— O ileżbym cię wolał, kuzynko, widzieć w jasnej jakiej sukni, niż w tych żałobnych szatach!

— Zrzuciłabym je, Kaziu drogi, by ci nie robić przykrości, bo i zresztą, szczerze mówiąc, zawiodłam się na moim mężu. Nie mówię, broń Boże, żeby nie był dobrym zawsze dla mnie, ale, widzisz... za późno opatrzyłam się, że poziom jego umysłowy niżej stoi, niż ja to sobie wyobrażałam. Przytem, był trochę egoistą... drażliwy bardzo... Ale żałobę nosić muszę bo to mu się przecież należy. Kochałam go tak bardzo!

Ja, zdawało mi się, odgadłem z tych słów, że nie była tak szczęśliwą, jak to dla niej marzyłem, ale nie zrozumiałem ich właściwej treści, którą było, że żałobę nosi dla oczów ludzkich tylko. Byłem jeszcze strasznie prostodusznym! Uwielbiałem

nawet jej dobroć anielską, która jej każe szanować pamięć męża, pomimo, że nie była z nim szczęśliwą.

Dobrze nam było w cichym domu ojca, ale pokazało się z czasem, że trudno odsunąć się od ludzi, szczególniej młodemu człowiekowi;, po którym spodziewają się inni, że imię jego zasłynie później. Ja zresztą miałem dużo dawniejszych znajomych w Krakowie i prosta grzeczność nakazywała mi odwiedzać ich bodaj od czasu do czasu. Gdzie moi znajomi byli także znajomymi Julki, tam sprawa była łatwą; starałem się wiedzieć, a raczej, jak widzę dziś, ona starała się uwiadomić mnie, kiedy tam lub ówdzie pójść zamierza, bym i ja mógł się tam stawić. Później nawet mówiła po prostu:

— Pójdę dziś do Podbiełłów, przyjdź i ty, bo t-m tak nudno!

— Ależ Juleczko, (tak ją nazywałem, gdyśmy byli sami) młody Podbiełło tak tkliwie spogląda na ciebie! To chłopiec majętny przecie.

— Co też mówisz, Kaziu! To jakiś na pół idjota, nie ma o czem mówić z nim, bo jako wrażenia z koncertu opowiada tylko, że w bęben mocno uderzano, lub trąbki za mało było słychać, a w teatrze, kiedy grała Modrzejewska, zachwycał się tylko drogością użytej na jej kostiumy materji.

— No, to człowiek, co patrzy na życie praktycznie!

— Ejże, Kaziuńciu, czy może radzisz i mnie w ten sposób patrzeć i wziąć sobie za męża Podbiełłę z jego tysiącami?

— Albożbyś ty to potrafiła, najdroższa moja? Przecież go nie kochasz?

— No, jeżeli ty mi poradzisz go poślubić, tom go pokochać gotowa.

— Niechże Bóg broni! Wiesz, że ja nie miałbym już co robić na świecie!

— A to czemu?

— Bo ty nie byłabyś szczęśliwą z takim mężem, a na twoje cierpienie ja patrzeć nie chcę.

— Cóż ciebie moje cierpienia obchodzić mogą?

— Ach, Julciu! Jak też możesz mówić takie rzeczy.

— Ty pewno zostawiłeś jaki dobrze odżywiany ideał w Monachium...

— O nie, ja serce moje przywiozłem wiernie dochowane, by je złożyć u stóp tej, która w niem od lat wielu pozostawała.

— A cóż to za jedna?

— Nie udawaj, Julciu najdroższa, że nie wiesz, iż ciebie jedną kochać mogę! — zawołałem z wybuchem, do którego doprowadziła swemi pytaniami, — Nie mogę wierzyć, byś się tego dotychczas nie domyśliła..

— Ciszej, proszę cię. Nie chcesz przecie, by ciotka rozmowę naszą usłyszała.

— A czemuż miałbym kryć się z mojemi szczeremi uczuciami?

— Ja wcale nie życzę sobie, by ona mnie wygryzła z domu twego ojca i przypuszczam, że i ty tego nie pragniesz.

— Julciu!

— Wiem, co mówię, dosyć ona już dołków wykopała podemną, dlatego proszę cię bardzo, byś miarkował swe wybuchy i starał się nie narażać mnie na przykrości.

— Więc ty nigdy cieplejszego uczucia mieć dla mnie nie będziesz? — zawołałem z bólem.

Ona prawdopodobnie spostrzegła, że ton jej mowy był strasznie chłodny i rozsądny, to też położyła mi dłoń na ramieniu i czule patrząc w oczy, powiedziała:

— Czy to, co w sercu się dzieje, koniecznie mamy światu całemu roztaczać przed oczy? Czyż nie możemy wzajemnych uczuć naszych zachować tylko dla siebie?

Ja czułem się oszalałym, upojonym szczęściem, otoczyłem ręką jej kibić, czemu ona nie sprzeciwiała się wcale i całowałem jej oczy i usta. A ona przecież nosiła jeszcze krepami obszytą suknię dla uczczenia pamięci męża!

Wieczór spotkaliśmy się u Podbiełłów i tam zastałem także ładną bardzo i sympatyczną panienkę, która uśmiechnęła się dobrotliwie, gdy mnie jej, jako obcego przedstawiono i wyciągając do mnie rączkę, zapytała:

— Jakto, już mnie kolega nie poznaje?

Zrobiłem wielkie oczy na takiego kolegę, bo wydał mi się przedewszystkiem zbyt ładnym, by zapomnieć go można, a zresztą, gdzież ja mogłem mieć takich współuczniów? Modelować w szkole sztuk pięknych nie uczyła się żadna kobieta, no, a kuć? — I, spojrzawszy szybko na jej drobne ręce, parsknąłem śmiechem.

— Co też pana tak śmieszy? Czy nie przyszło panu na myśl przypadkiem, że pomagałam ci kiedy odkuwać figurę w kamieniu lub marmurze?

Teraz spoważniałem: zkąd u licha to małe stworzenie przejrzeć mogło moje myśli? A ona ciągnęła dalej:

— Jak widzę, muszę ja sama przedstawić się także panu z imienia; nie został widać najmniejszy zakątek w twej pamięci dla dawnych znajomych. Zapomniałeś pan już zupełnie Stalickich?

— Lunia! przepraszam, panna Michalina! Zkądżesz ja mogłem w tej ślicznej osobie przypuścić małą, niezgrabną Lunię?

— Czy mam to wziąć za komplement, czy za przycinek?

— Nie uczyłem się między kolegami komplementów prawić, a dlaczego miałbym pani docinać? Mogę być tylko serdecznie wdzięcznym, że pani pamiętać o mnie raczyła!

— No, nie przypuszczam, żeby panu tak na tem bardzo zależało?

— Są dobra, które cenić się umie dopiero wtedy, gdy nam się dostaną w udziale.

— Naprzykład?

— A wiedza? Sztuka?

— O przyjaźni pan zapomniałeś. Ale dajmy pokój tym ogólnikom, boś pan gotów w końcu dziesiątą muzę zrobić ze mnie, a ku temu nie kwalifikuję

się wcale. Lepiej powiedz mi pan choć krótko, co robiłeś za granicą i jakie nam przywiozłeś owoce swej pracy? Choć tylko po francusku uczyliśmy się razem, ale ja taka dawna jestem znajoma i tak serdecznie mnie to obchodzi, co pana d· tyczy! Ale czy pan nie jesteś zarozumiały?

— Dlaczegoż miałbym nim być?

— Jesteś, a przynajmniej będziesz wkrótce wielkim człowiekiem, a przytem ja pana tak traktuję po bratersku, że Bóg wie, co panu na myśl przyjść może.

— Kiedy masz pani tak jasne, szczere oczy, że zbyt dobrze każde twe słowo tłómaczą. Omylić się na znaczeniu nie można.

Rzeczywiście. co to były za dobre, poczciwe oczy! Niebieskie. spokojne, a jak pełne wyrazu przy tem! Ona, doprawdy, nie mogła była skłamać, bo oczy by ją wydały. Mówiliśmy o sztuce, o mojej pracy, o pracach moich kolegów Polaków, wreszcie Lunia powiedziała:

— Skoro już okoliczności, jak pan mówisz, nie pozwalały ci wracać za granicę, to pewno w kraju dalej pracować pan będziesz. Cóż teraz pan robisz?

— Teraz odpoczywam i tylko odpoczywam.

— To podobno bywa niebezpieczne! Czy wiesz pan, że mama bezczynnie odpoczywać mi nie pozwala? Kiedy mnie znuży muzyka, każe mi iść pilnować obiadu...

— Pani przy kuchni?

— O i nawet umiem już prawie wszystko zgotować!

— Na cóż pani tego rodzaju umiejętność?

— Mama utrzymuje, że kobieta najpierw powinna obeznać się dokładnie z gospodarstwem, bo jeśli nie ma wybitnych jakich zdolności, przez całe życie będzie musiała zarządzać przynajmniej domem, jeżeli los pozwoli jej nie robić samej wszystkiego.

— A jakże pani odpoczywasz po kuchennem zajęciu?

— Zasiadam do czytania, a gdy już czytać z całem wytężeniem umysłu nie mogę. szyjemy, lub haftujemy coś z mamą.

— W takim razie pani nie bawisz się nigdy?

— Próżnowanie nie jest zabawą, a męką, ale rozrywek mi nie braknie. W lecie chodzimy na spacery za miasto, w zimie bywamy w teatrze, na koncertach, u naszych życzliwych znajomych. A czy za nic pan uważasz, że są łaskawi, którzy nas czasem odwiedzają?

— Czy pozwolisz pani, bym i ja złożył państwu uszanowanie?

— Nawet proszę o to. Muszę się przecież przekonać, czy panu cośkolwiek chociaż z naszej wspólnej nauki pozostało w pamięci, a nie chcę egzaminować pana tu, w licznem towarzystwie, bo anużby kto podsłuchał i przekonał się, że pan mówisz po francusku z zupełnie niemieckim akcentem?

— Nawet i tak już nie potrafię, ale z łaskawego pozwolenia mojej koleżanki korzystać nie zaniedbam.

Poszedłem przypomnieć się jej rodzicom i po drodze spostrzegłem, że Julka bardzo dobrze bawi się z wyśmianym niedawno Podbiełłą. Nie było mi to przyjemne, ale mniej mnie zirytowało, niż kiedykolwiek, bom był za bardzo pod wpływem spokojnej i miłej rozmowy z Lunią.

W powrocie do domu musiałem powtórzyć Julce całą rozmowę z panną Stalicką — urządziła mi nawet małą scenę zazdrości, raczyła nareszcie przebaczyć, że tak się bardzo zajmowałem tą „ładną laleczką“ jak Lunię nazwałem, musiałem jej jednak przyrzec, że nie będę nigdy dla innych o Julce zapominał.

Powoli, nie wiem nawet, jak przyszło do tego, bo tak nieznacznie przeprowadzać swoje chęci tylko kobiety umieją, przywykłem każdą myśl moją jej powierzać. Julka wypytywała mię o moje podróże, radziła, jak urządzić życie przyszłe, musiała wiedzieć zawsze, ile mam pieniędzy na co mi ich potrzeba, na co już wydałem. Gospodarowała w moich szafach i szufladach, dając się słyszeć niejednokrotnie, że:

— Co Kazia, to i moje. To mój jedynaczek przecie. (Dok. nast.)

ZIELONE ŚWIĄTKI.

Każda uroczystość doroczna u Słowian zachodnich przedstawia w sobie dwie strony: jednę obrzędową kościelną, drugą zwyczajową, sięgającą jeszcze tradycyą swoją do prastarego źródła pojęć i wierzeń pogańskich. Mądra polityka kościoła, zastępując dawne święta, płynące z kultu przyrody, uroczystościami, poświęconemi pamiątkom wiary naszej. zadawalniała się starciem z nich charakteru pogańskiego, rzadko wypleniając zwyczaje, które, zatraciwszy swe pierwotne znaczenie, zeszły do rzędu niewinnych zabaw popularnych, trzymających się jednak uporczywie mas, gdyż te w konserwatyzmie swoim nie łatwo i niechętnie pozbywają się przywyknień swoich, a jeżeli jaka siła wydrzeć je usiłuje, stawiają opór nie do przezwyciężenia.

W zwyczajach dorocznych, połączonych z uroczystościami kościelnemi, mamy objawy szczątkowości z doby przedhistorycznej, symbole, oparte na wierzeniach pogańskich, ale niezrozumiałe w swem pierwotnem znaczeniu dla tych właśnie, którzy naj wytrwalej wykonywują wszelkie przekazane tradycją ceremonje. Do owego zanikłego znaczenia, niby do fundamentu, przywalonego rumowiskami wieków, dokopuje się nauka obecnie za pomocą jedynej metody w badaniach tego rodzaju, mianowicie metody porównawczej.

Wynik jej sprobujemy przedstawić na przykładzie święta, któreśmy dopieroco obchodzili.

Dzień ten nosi w kalendarzu chrześciańskim nazwę „Zesłanie Ducha Swiętego“, co samo przez się wskazuje, na jaką pamiątkę uroczystość ustanowioną została. Ma on jeszcze drugą nazwę kościelną, mianowicie „Pentecostes“, czyli „Pięćdziesiątnica“, albowiem następuje w 50 dni po Wielkiejnocy; z

tej to nazwy łacińskiej powstało niemieckie „Pfingsten“, co znowu Słowency w Krainie, Karyntji i Styrji przekręcili na „binkoszty“. Dawniej uroczystość owa poczytywaną była za tak wielką, jak i sama Wielkanoc i poświęcano jej cały tydzień. Trwało to do połowy X. wieku, kiedy ograniczono do dwóch dni. Jednakże i wtorek, na mocy zwyczaju, poczytywano za święto. Z tego powodu ks. Franciszek Kowalicki w kazaniach swoich pod tyt. „Post stary polski dziewięćniedzielny“ (r. 1718. Cz. II., str. 140), taką opowiada anegdotę: „Niedawno w świąteczny wtorek wyjeżdża na pole ubogi kmiotek; pielgrzymujący zakonnik spotkał jadącego i pyta: „Dąkądże z pługiem? Jeszczeć to dzień święty Ducha św.“ — Odwróci się zły prostak i odpowie: „Póki ten Duch św. święcić się będzie?“

Druga nazwa popularna „Zielone Świątki“, także jest sama przez się wymowną. Powiada nam ona wyraźnie, że jest to święto zieleni, a zatem maja, wiosny, ciepłej i kwitnącej pory roku. Cała obrzędowość człowieka pierwotnego, prastary kult pogański, zasadzał się na czci sił przyrody, które stały wrogo przeciwko sobie, jako światłość i ciemność, ciepło i zimno, lato i zima.

Im dalej rok posuwał się ku zenitowi ciepła i urodzaju, tem większym był w oczach pogan tryumf bóstw ciepła i urodzaju nad demonami zimna i jałowości, ztąd tem większa radość wstępowała w dusze naiwnych i prostodusznych czcicieli przyrody.

Jeśli w zwyczajach wielkanocnych przebijają oznaki witania pierwszych objawów zbliżającej się wiosny, to w świętach majowych czczono już boginię wiosny w jej pełnej sile, w cichym tryumfie nad odpędzoną za lasy, za morza, zimą, w jej miłościwych darach, które, lubo skromne, jednakże są zapowiedzią czegoś o wiele hojniejszego, drogocenniejszego, zapowiedzią płodów ziemnych, owoców pól i sadów.

Ztąd w obchodach majowych, które w praktyce późniejszej skupiły się około „Zielonych Świątek“, najważniejszą rolę gra zdobienie domów „zielenią“, posypywanie podłóg tatarakiem i stawianie zielonych drzewek przy domu. „Starożytny to kraju naszego zwyczaj i powszechny przedtem — mówi Łukasz Gołębiowski („Domy i dwory“ r. 1830, str. 186) — że i świątynie pańskie i możnych pałace i najuboższą chatkę zdobiły drzewka zielone, przy wnijściu, u okien i na rogach zatknięte. Wewnątrz kościoła ołtarze, ławki, a w domach rogi pokojów, były również ozdobione młodemi drzewkami od nieszporów zielonych świątek aż do ich upłynięcia“.

Specjalne znaczenie ma drzewo, zwane „majem“, które w Poznańskiem stawiają w drugie święto parobcy. Jest to cienkawy drąg, albo, jeśli uda się ściąć pokryjomu, sosna z boru; stawiają ją na podwórzu u którego z gospodarzy i u wierzchołka zawieszają wstążki, kilka chustek, trzewiki, flaszkę z wódką i t. d. Kto na wierzchołek się wdrapie, zabiera to wszystko. Są to rzeczy poprzednio wzięte od dziewcząt, więc też dziewczęta muszą je wykupywać od zdobywcy. Za zebrane pieniądze u gospodarza lub w karczmie piją wódkę i bawią się. Zwyczaj ten ginie powoli i w wielu miejscach już zaginął. (Kolberg „Poznańskie“ II. 202). Stawianie drzew „maja“; jako symbolu wiosny, znane jest dobrze i Czechom, ale u nich stawiają się one w wilję pierwszego maja w nocy i zostają na miejscu przez cały miesiąc.

U Niemców zaś znane było dobrze „Maibaum“, a zwyczaj uroczystego ścinania drzewa przy dźwiękach muzyki i stawiania go na placu, istniał w Anglji jeszcze w wiekach XVI. i XVII. Odbywało się to, również jak u Czechów, pierwszego maja. Tu i tam, wszędzie, owo drzewo, ozdobione kwiatami i wstążkami, było symbolem zwycięskiej, panującej w tej porze wiosny.

Jeszcze widoczniejszym jej symbolem, personifikacją w postaci ludzkiej, przedstawia zwyczaj, o którym wspomina Kolberg („Poznańskie“ tom I., str. 141). W Biezdrowie, powiecie Szamotulskim, a zapewne i w innych miejscach, „w Zielone świątki obnoszą chłopcy lub obwożą na koniu „Maja“. Jest to figura ludzka, ze słomy zrobiona i przybrana w liście i różne zioła polne“.

Zowie się to „gaikiem“ albo „maikiem“. Zygmunt Gloger w „Pieśniach ludu“ (str. 15) powiada: „Zamiast ustrojonej gałęzi lub lalki na niej, obnoszą dokoła pól i wioski małą dziewczynkę, która przedstawia królowę wiosny, przybraną suto w zieleń, kwiaty i wstążki, a zowie się „królewną“.

Obrzędowi temu towarzyszy pieśń bardzo stara, ułożona wierszem nierymowym z refrenem „hej nam, hej!“*) W niej jest mowa o „kochanej dziewczynie“, która „szyje na pawłodze nadobnej królowej“ (zapewne wiośnie), a królowa jej daje za to „ruciany wianeczek“ i „złoty pierścioneczek“. Dziewczyna wianeczek puszcza „po bystrym dunaju“, a z pod pierścienia „złota trawka rośnie“, po trawie zaś „śliczne chodzą pawie“, z ich piór dziewczyna wije wianki. I zjawia się młodzieniec, który ją namawia, aby z nim jechała. W pieśni tej ofiara dla wiosny, dary tej królowej, cudowna moc owych darów i miłość, to uczucie wiosenne, jednoczą się w obrazek, pełen naiwnego wdzięku.

Powyższy obrzęd moglibyśmy nazwać objawem zarodkowo szczątkowym prastarego kultu wiosny, to jest szczątkiem obrzędu, który zanikł, nim zdołał rozwinąć się i uzupełnić. Za to Czesi i Słowacy posiadają wspaniały obrzęd, zwany „jazdą królów“, który właśnie przypada na czas Zielonych świątek, czyli „letnic“, jak to święto tam nazywają. O tym zwyczaju ukazał się niedawno szczegółowy artykuł w czasopiśmie dwumiesięcznym „Czesky lid“ dra Wincentego Zibrta (II. 105), dopełniony szczegółami pióra innych pracowników. Ułatwia on nam przedstawienie owego ciekawego obrzędu.

---

*) Wykrzyk „hej“ ma znaczenie radośne. Ztąd w języku ludowym czeskim „hej“ znaczy „dobrze, doskonale“. — „Tomu je hej!“ znaczy: „jemu dobrze się dzieje“.

Zwyczaj ten głównie praktuje się w Morawji, w części, którą zamieszkują Słowacy. Dr. Zibrt był świadkiem takiej „jazdy królów“ w okolicach Uherskiego Hradiszta. Na koniu, bogato ozdobionym wstęgami, obwieszonym dzwonkami, jechał młody chłopiec, ubrany po kobiecemu, jako „król“, okryty wieńcami, długie wstęgi całą twarz mu zakrywały. W ustach trzymał róże, aby nie mógł mówić, ręce zaś miał pod boki oparte. Obok niego jechało dwóch adjutantów, również w szatach niewieścich, w wieńcach ze wstęgami, w ręku trzymali obnażone szable. Koń królewski przywiązany był wstążkami do koni adjutantów, aby nim kierować można było. Orszak królewski siedział na koniach, ozdobionych wstęgami, młodzi parobcy mieli w rękach chorągiewki, z pstrych chusteczek porobione. W tym orszaku główną rolę grali trębacze, którzy mieli obowiązek zbierania darów dla króla i jego towarzyszy. Cała ta gromadka objeżdżała wieś, stając przed każdym domem. „Wywoływacz“ wołał na pół śpiewnem recitativem: „Hylom! Hylom! Posłuchajce górni, dolni, domowi i sąsiedzi, co wam opowiadać będziemy w poniedziałek świąteczny. Hylom! Hylom!“ Potem jeden z „wysłańców“ albo „wybieraczów“, przymawiając się o dar dla króla, prawił orację, rymowaną na prędce. Przed pojedynczemi domami wywoływacze dodawali rozmaite dowcipy w formie dystychów, chwaląc lub ganiąc gospodarzy, zapewne według miary ich hojności lub skąpstwa. Wiersze te przypominają nasze śpiewki dożynkowe, np:

Przed tym domem jest kałuża.
Bywa tam panienka jak róża.

lub

Przed tym domem kwitnie rozmaryn,
Że tu bywa pięć Maryn.

albo przed karczmą żydowską:

Przed tym domem chodniczek równy,
Że ten żydek ma trunek nie dobry itd.

Zwyczaj „jazdy królów“ ginie U Słowaków na Węgrzech prześladowały go i stłumiły rozporządzenia kościelne już w końcu wieku XVI-go. Zakazują go i w nowszych czasach w Morawji, wskutek czego pod Przerowem ostatni się odbywał w r. 1868. W Czechach także „jazda króla“ wychodzi ze zwyczaju, a w wielu miejscach wyszła już ze zwyczaju; kołacze się gdzieniegdzie w Czechach południowych, zwłaszcza w okolicach Pilzna. Jedną ważną częścią tej zabawy było to, że króla zwalano do kałuży lub stawu, co zapewne miało znaczenie symboliczne deszczów wiosennych, tyle potrzebnych na zasiewy.

Do obrzędów, związanych z Zielonemi świątkami, należy u Słowian zachodnich „strzelanie do kogutka lub kurka.“ Zwyczaj to niemiecki, znany w Niemczech, w Niderlandach od dawien dawna. U Słowian pierwszy zaprowadził go książe Świdnicki Bolesław Waleczny, wnuk, po kądzieli króla czeskiego Przemysława Ottokara I go. Pierwsze strzelanie do kurka odbyło się publicznie w Świdnicy r. 1286, jak i o tem pisze kronikarz szląski, Efraim Naso. Że Szląska przyszedł ten zwyczaj do nas i Czech, gdzie stał się ulubioną zabawą w poniedziałek świąteczny. Pierwotnie przywiązywano żywego koguta do tyki, potem zastąpiono go drewnianym. Że kogut, piejący tak głośno na wiosnę, uchodził w oczach człowieka pierwotnego za zwiastuna i herolda cieplejszej pory roku, więc i ten zwyczaj musiał mieć źródło swe w symbolach pogańskich.

Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają nam mówić o licznych obrzędach, nader charakterystycznych a starożytnych u Słowian wschodnich i południowych, którzy z tą uroczystością powiązali nader ciekawą obrzędowość. Być może, że znajdziemy możność mówienia o tem przy innej sposobności. *Bronisław Grabowski.*

Z motywów ludowych.

Skończyły się latka moje macosze,
Na wesele! na sieroce — was proszę!
Mój ty Boże! Janko przysłał dziś swaty...
Chce mię pojąć, wziąść jak swoją do chaty!
Nie przyniosę ja nieboga mu wiana,
Ale będę pracowała od rana...
Gospodarki to się całkiem nie boję,
Krówkę co dnia mu nakarmię napoję,
Izbę zawsze na niedzielę wybielę,
I na chlebuś ziarna świtkiem namielę,
A gdy wszystko przygotuję, ogarnę..
Chwilki czasu nie zmitrężę na marne!
I na pańskie iść nie będę się bała:
Kiedy żniwa! Zawszem-m w przodku żynała!
Mój ty Boże! Jak to dobrze na swojem...
Choć się codzień napracuję ze znojem —
Już nie będę się napraszać nikomu
O kęs chleba na posiłek — kąt w domu...

Skończyły się latka moje macosze!
Na wesele, na sieroce, was proszę!
Nie przyszłam tu po zasiłek, ni datki!
Lecz po krzyżyk, jak do ojca lub matki.
Nie znam ja ci już z krewniaków nikogo...
Dobrzy ludzie! wy się cieszcie z niebogą!
Błogosławcie mi na lepszą, na dolę.
Miejcie zawsze dobre serce i wolę..
Za kolana was uchwycę — łzą zroszę.
Na wesele! na sierocie! was proszę!

Arwor.

POZOSTAŁY.

Maurycy Zeller tak zaczął opowiadanie swoje:

Dywizja Lartigues'a walczyła od świtu bez wytchnienia choćby na jedną chwilę. Wyszedłszy z lasu niederwaldzkiego, podsunęliśmy się tak blisko ku Niemcom, że schwyciliśmy się z nimi nieledwie za bary.

Trzy razy od początku walki spotykałem brata mojego bliźniaka, Filipa, mogliśmy wszakże tylko zamienić z sobą uśmiechy i zawołać jeden na drugiego:

— Cóż, czy wszystko dobrze?

— Przynajmniej dotąd!

Owo „przynajmniej dotąd", zaręczyć wam mogę, nie było czczym frazesem, naokół towarzysze padali jak snopy i lada chwila mogła przyjść kolej i na nas, co dla pozostałego gorszem było od śmierci...

Dodać trzeba, iż stosownie do otrzymanego rozkazu od marszałka, przedarliśmy się do Elsasshausenu i zajęliśmy tam wszystkie domy. W kilkunastu strzelaliśmy z okien z taką zapamiętałością, że do luf karabinów dotknąć się było niebezpiecznie, bez względu atoli na spustoszenia, sprawiane przez nas w szeregach, zastępy idące na nas, nietylko się nie zmniejszały, ale owszem, jakby wyrastały z pod ziemi. Zgiełk i zamieszanie panowały piekielne.

Wkrótce czarny, gęsty dym, jakby chmura ciągnący się ku niebu, przeszkodzał nam cośkolwiek rozróżnić; strzelaliśmy na chybił, trafił... Nagle ową czarną, gęstą masę przerznęły drugie, krwawe płomienie.

— Wieś się pali! — rzekł stojący przy mnie stary kapral, nie przestając strzelać...

Kula nieprzyjacielska ugodziła w jednego z wyższych oficerów. Widzę, jak śpieszą mu na pomoc i podtrzymują upadającego z jednej strony kapitan, z drugiej podporucznik — mój brat.

— Boże, pułkownik zabity! — zawołałem mimowoli.

— Tem lepiej dla podpułkownika — odpowiada kapral — a ty rób tymczasem, co do ciebie na...

Nie zdążył skończyć jeszcze, gdy granat wpadł w okno, pękł, oderwał mu głowę i zburzył część ściany. Inny granat zapalił dach gontowy domu. Nie ma sposobu już trzymać się tam dłużej. Dusząc się od dymu, pędzimy po schodach na ulicę, gdzie już mnóstwo żołnierzy tłoczy się w największym nieporządku.

Filip usiłuje ich zebrać w szyki, a zobaczywszy mnie, woła:

— Maurycy, chodź z nami!

Zbiera się nas około trzydziestu i olbrzymiemi krokami, o ile nam pozwala na to grad kul, chronimy się przed niebezpieczeństwem do innego budynku przy samem wejściu do wsi... Strzelamy w dalszym ciągu i co chwila ktoś z nas ubywa, broń wypada z ręki mego brata.

— Filipie, co tobie?

— Umieram — wyszeptał — dostałem kulą w piersi... Słuchaj: pułkownik, śmiertelnie raniony, oddał mi kasę pułku...

Zatrzymał się, aby wypluć strugę krwi zczerniałej.

— W pugilaresie u mnie znajdziesz 11.000 fr. w biletach banku francuskiego. Włożysz na siebie mój mundur i pieniądze weźmiesz pod swoją opiekę. Nas przecie tak trudno odróżnić od siebie. Jeżeli nie będziesz zabity, dostaniesz się do niewoli, prostego żołnierza rewidują, ale oficera nie. Jeżeli zdołasz uciec, oddasz skarbiec pułkowy dowódcy... Śpiesz się, rozbieraj mnie czemprędzej...

Oszołomiony robiłem, co mi kazał. A tymczasem na ulicy coraz bliżej słychać zgiełk, odgłos strzałów i łoskot zapadających belek domostw.

— Otóż i oni — rzekł jeszcze Filip, wypluwając nową krwi strugę... Zbliża ku mnie swoje usta. Całuję go jeszcze, gdy drzwi rozlatują się w kawałki. Rozlega się kilka wystrzałów, ale żaden z nich mnie nie trafia, a następnie zbliża się ku mnie oficer niemiecki i mówi:

— Jesteś pan więźniem, proszę o szpadę.

Sprowadzają mnie na dół, gdzie już znajduje się kilkudziesięciu żołnierzy i oficerów, otoczonych przez Niemców.

Byłem wzięty do niewoli!

. . . .

Uwolnię siebie i was od szczegółów niepotrzebnych. Internowano nas w Kolonji. Stan mej duszy nie pozwolił mi działać świadomie. Kochałem brata więcej, niż samego siebie... Filip i ja nie rozstawaliśmy się, dopóki nie wstąpił do szkoły w Saint-Cyr; mnie tam nie przyjęto i rozpaczy mojej nie było końca, matka moja zaś radowała się z tego. Egoizm jej atoli w tym razie był usprawiedliwiony. Ojca mojego, dowódcę bataljonu, zabito pod Solferino, siostra, starsza od nas o lat 5, wyszła zamąż i mieszkała daleko, a matka pozostałaby bezemnie samotną... Wolała zatem, żebym słuchał kursu prawa, byle tylko miała mnie koło siebie... Gdyby nie wojna z Niemcami, marzenie jej urzeczywistniłoby się z pewnością, lecz w żyłach naszych płynęła krew żołnierska i skoro tylko wypowiedziano wojnę, zaciągnąłem się do pułku, w którym służył Filip.

Nigdy bliźniacy nie byli tak do siebie podobni, jak my. Jedyną różnicę stanowiło, iż uczyłem się trochę gorzej od niego... Gdyśmy mieszkali w domu, rodzice odróżniali nas po kolorze krawatów, w szkole zaś po numerze ubrania. Zresztą dopiero wtedy, gdy pozostałem w Kolonji sam w pokoju, wynajętym od jakiegoś krawca, pomyślałem o następstwach zmiany. Zostałem podrabiaczem dokumentu, przyswoiłem sobie tytuł, który do mnie nie należał i pozwoliłem, ażeby spisano akt mego zejścia. Dostałem list od biednej, zrozpaczonej matki, w którym rozpytywała o szczegóły mojej śmierci, o której już ją zawiadomili... Ponieważ listy adresowane do Francji, były czytane przed wysłaniem,

musiałem rolę moją odegrać do końca i opisać, w jaki to sposób zostałem raniony śmiertelnie. Towarzysze mojego brata, wzięci do niewoli razem ze mną, przypisali nieznajomość wielu szczegółów, jego dotyczącycb, rozstrojowi, jaki w moim organizmie wywołała śmierć brata. Mogłem bez najmniejszego ryzyka z mojej strony zostać podporucznikiem Filipem Zeller, ale przestępstwo, spełnione z woli umierającego, ciężyło mi jak kamień. Chciałem jak najprędzej powrócić do Francji, oddać kasę pułkową i powiedzieć wszystkim prawdę.

Chwila oczekiwana oddawna nastąpiła nakoniec. Pewnego poranku kwietniowego w r. 1871 dzwoniłem u drzwi malowniczego domku w Lisieux, który zajmowała moja ciotka, wdowa po fabrykancie, z córką Odettą, a u której moja matka mieszkała w czasie wojny. Kwiecień był dziwnie piękny, młoda zieloność w ogrodzie pieściła oczy...

Usłyszałem od razu dwa okrzyki:

— Filip! mój Filip!

Znalazłem się od razu w objęciach mojej matki i Odetty, które nie chciały mnie puścić, jakby sądziły, że mnie i teraz im kto odbierze. Wreszcie Odetta odsunęła się, a matka jeszcze raz przytuliła mnie do piersi i zawołała:

— Patrzno, Odetto, toż to cień dawnego Filipa. Niech przeklętą będzie wojna... Jednego zabili, a drugiego jakim mi powracają?... Ale słuchaj, ty nie odejdziesz więcej odemnie... Nie chcę, żebyś szedł na drugą rzeź, tam pod Paryż...

— Uspokój sią mateczko; pułk nasz będzie stał w Hawrze i nie pójdzie naprzeciw kommuny.

Uspokojona matka wtedy zwróciła się do kuzynki.

— A teraz ty go uściskaj, Odetto! Ja nie jestem zazdrosną, wiem, że on tak samo należy do mnie, jak do ciebie... Kochaj ją Filipie! Gdybyś wiedział, jak ona płakała i modliła się za ciebie!

Nie pamiętałem, że Filip i Odetta kochali się wzajemnie i przysięgli należeć tylko do siebie... Tym sposobem kradłem także i miłość tego dziewczęcia. Czyż nie powinienem był powiedzieć·

— Oszukuję was obie... Tobie matko kradnę twą rozpacz, a tobie Odetto twoją miłość!

Matka cierpiałaby tak samo, ale wyznanie moje mogłoby być śmiercią dla Odetty, grałem więc dalej rolę Filipa, choć czasami zdawało mi się, że wychodzi on z mogiły w Elsasshausen i woła:

— Dosyć już tego! Oddaj mi z powrotem mój mundur i moją narzeczonę! Oddaj matce mej rozpacz, złodzieju!

Gdy matka, nie podejrzewając, co się ze mną dzieje, poszła się zakrzątnąć około jakiego posiłku, dla mnie, Odetta wzięła moję rękę i zaczęła...

— Najdroższy, a mnie się ciągle zdaje, jakbyś zmartwychwstał.

Zbladłem i pomieszany spoglądałem na nią, nie odważając się na oddanie uścisku.

— Co się z tobą dzieje? Czyżbyś przestał mnie kochać? — zawołała ona, bledniąc z kolei...

— O nie, nie, ale nie mówmy o umarłych, umarli z grobów nie wstają.

— Prawda! Jaka ja samolubna. Zapomniałam o kimś drugim, który stanowił jakby połowę ciebie, któremu zazdrościłam twego uczucia... A czy pamiętasz, coś mi z jego przyczyny powiedział, tam w altanie, gdyśmy się żegnali?

Chciałem w tej chwili, żeby ziemia zapadła mi się pod nogami.

— Bezwątpienia — powtarzałem zmięszany.

— Powtórz mi to raz jeszcze — dodała, patrząc już na mnie nie bez podejrzenia...

Milczałem. Wtedy ona odepchnęła mnie od siebie.

— Jakto? Więc ty nie byłbyś Filipem? Ale czekaj! Ta myśl jest zbyt okropną. Gdybyś był Filipem, już byś trzymał mnie w swojem objęciu i całusami zamknąłbyś mi usta. Nie, tyś Maurycy! Serce moje mi to powiada...

Ukląkłem przed nią i zakrywszy oczy rękami wyszeptałem:

— Przebacz mi!

Krzyknęła przeraźliwie i jak martwa upadła na ziemię.

Ciotka, matka, kucharka, wszyscy przybiegli do nas. Ona leżała bez przytomności, a ja na kolanach przy niej płakałem. Opowiedziałem wszystko.

Nazajutrz odjechałem do mojego pułku, pozostawiając Odettę chorą i oddałem pieniądze, powierzone mi przez brata. Pułkownik uściskał mnie jak syna i dał kilkomiesięczny urlop, a po dwóch tygodniach przysłano mi medal zasługi „za męstwo i ocalenie kasy pułkowej“... Po upływie miesiąca Odetta, dzięki troskliwej opiece przyszła do zdrowia, wkrótce też kończył się mój urlop. W przeddzień wyjazdu powiedziałem do nieszczęśliwej dziewczyny.

— Odetto, zostawiam ci opiekę nad moją matką.

— Ty nie odjedziesz — odpowiedziała. — Tej nocy widziałam Filipa... Rozmawiał ze mną i kazał cię kochać...

— A ty?

— Czyż mogę się sprzeciwiać jego woli? — odrzekła zarumieniona cała, a potem podnosząc do góry oczy, dodała jeszcze — nie siląc się powstrzymać łez — kochając cię, będę w dalszym ciągu kochać Filipa...

Dotrzymała, jak widzicie słowa, mój mały Filip jest równie doskonałym portretem brata jak moim.

M. Siebecker.